



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: ILE STEREOTYPU, ILE HITU, ILE PRAWDY?

Powodzenie filmu Radosława Piwowarskiego „Yesterday” wśród festiwalowych jurorów pozostaje dla mnie zagadką. Ta opowieść o grupie młodych entuzjastów muzyki Beatlesów, wypełniona muzyką słynnej „Czwórki z Liverpoolu”, a osadzona w scenerii prowincjonalnego polskiego miasteczka z połowy lat sześćdziesiątych, nie wzbudziła ani zachwytów polskiej krytyki filmowej, ani, co więcej, większego zainteresowania widzów młodzieżowej widowni, do której chyba, przede wszystkim, film był adresowany. Właściwie „Yesterday” przemknął przez polskie ekrany w sposób prawie niezauważalny.

Na ostatnim festiwalu polskiego filmu fabularnego w Gdańsku Piwowarski dostał nagrodę (Brązowe Lwy Gdańskie za debiut wraz z Wiesławem Saniewskim, autorem bardzo ambitnego i dojrzałego „Nadzoru”. (Nawiasem mówiąc, obydwaj twórcy nie są już filmowymi nowicjuszami i „Yesterday”, i „Nadzór” były tylko ich pierwszymi fabularnymi filmami pełnometrażowymi) Ale oto, jeszcze wcześniej w Wenecji Radosław Piwowarski otrzymał za swój film liczącą się nagrodę FIPRESCI, międzynarodowego stowarzyszenia krytyki filmowej. A już po festiwalu gdańskim, na festiwalu filmowym w San Sebastian „Yesterday” zebrał same główne nagrody: Złotą Muszlę, Nagrodę Basków oraz nagrodę za najlepszą rolę męską dla Młodego Piotra Siwkiewicza, odtwórcy postaci „Ringo”. Prosta konsekwencją wydaje się zatem przyznanie na początku października Radosławowi Piwowarskiemu nagrody artystycznej II stopnia ministra kultury i sztuki za twórczość filmową.

Scenariusz „Yesterday” wyszedł spod pióra reżysera filmu. Oto niewielkie miasteczko, gdzieś w Polsce, połowa lat sześćdziesiątych. Młodzież szkolna fascynuje się muzyką Beatlesów, ich życiową „ideologią”, stylem bycia, sposobem ubierania się, ich buntem przeciwko otaczającej rzeczywistości. Ta muzyka, płynąca z wysłużonych, charczących radiodbiorników, z prymitywnych odtworzeń adapterowych, z „pocztówek dźwiękowych”, przenika przez mury szkół, gdzie na okazjonalnych akademiach króluje „Walentyna Twist” w wykonaniu dziewczęcych „chórków” oraz zbiorowe recytacje klasyków poezji. W

miejscowym technikem kolejowym czterej chłopcy z klasy maturalnej zakładają grupę beatową. Grają na prymitywnym sprzęcie, ich idolami są Beatlesi do tego stopnia, że przybierają imiona: „Ringo”, „John”, „Paul” i „George”, czeszą się i ubierają tak jak tamci wspaniali chłopcy z Liverpoolu.

I tu się zaczyna! Zjednoczone siły miasteczka - szkoła, rodzice kościół, administracja - ruszają do ataku na „kontestatorów”. Każdy na swój sposób stara się ich odwieść „od zła” na swój sposób „otrzeźwić”, zawrócić na „właściwą drogę”. Punktem zwrotnym w tej batalii staje się przyłapanie jednego z chłopców z licealistką Anią na miłosnych pieściznach na zapleczu sali gimnastycznej, przez nauczyciela PW i gimnastyki, „Biegacza” oraz awaria elektryczna prymitywnej instalacji nagłaśniającej podczas próby zespołu, w wyniku czego „John” ulega ciężkim poparzeniom i zostaje przewieziony do szpitala.

Zapada jednoznaczna decyzja połączonych sił przeciwników zespołu: „ściąć kudły na zapalkę!”. Tymczasem przewrotny a sadystyczny „Biegacz” każe stawić się Ani w swoim mieszkaniu, aby odebrała skonfiskowany „corpus delicti”, wiadomą część bielizny. Można się domyślać, jaki ma być właściwy cel owej wizyty? Ów szantaż najbardziej boli „Ringę”, który autentycznie kocha Anię

Zmasowany atak ciotki-dewotki „Ringę”, księdza proboszcza, dyrektora szkoły, no i „Biegacza”, zagrożenie mękami piekielnymi, niedopuszczeniem do matury lub wręcz wyrzuceniem ze szkoły „rozpustnej” dziewczyny, osiągają cel: chłopcy poddają się. Może raczej: zostają złamani. Zespół rozwiązany, fryzury zlikwidowane, a Ania udaje się do domu „Biegacza”. „Ringo”, po nieudanej próbie samobójstwa, trafia na pewien czas do szpitala psychiatrycznego. Po kilku miesiącach swoisty happy end: w wieczór balu maturalnego, kiedy Ania i „Ringo” wyznają sobie miłość (demoniczny „Biegacz” notabene nie skorzystał z „okazji”!). Ale po latach parę tę czeka sala sądowa i sprawa rozwodowa, kiedy to między dwojgiem ludzi nic już nie pozostało wspólnego, nawet uwielbiana kiedyś i jednocząca wszystkich młodych muzyka Beatlesów.

Tak oto przedstawia się pokrótce treść „Yesterday”. Owego nostalgicznego „Wczoraj”, którego pomysł narodził się z zafascynowania autora znanym utworem Beatlesów pod tym samym tytułem.

Film Piwowarskiego jest więc nostalgiczny, ewokujący pewien polski klimat sprzed dwudziestu lat, fascynacje, sprawy i problemy ówczesnej młodzieży. Ale także - co nie mniej ważne - młodzieży na całym świecie, zafascynowanej muzyką Beatlesów i jednoczącej się w swej kontestacji wobec świata dorosłych. Tak, więc Piwowarski podjął temat uniwersalny. (I to może ujęło zagranicznych jurorów?)

Jednak opowieść Piwowarskiego nie może wyzwolić się z szeregu stereotypów, które nawarstwiły się w czterdziestoletniej historii polskiego kina powojennego. Nie może jakby oderwać się od tych „modelowych” ciotek-dewotek w grubej czerni, księży-dobrodziejów spacerujących po plebanijnych ogródkach, „typowych” lekko przestraszonych dyrektorów szkół średnich oraz agresywnych nauczycieli-tępaków wychowania fizycznego. Nie potrafi także „Yesterday” - pretendując wszak do roli filmu psycho- i socjologizującego – zejść bardziej „w głąb” mentalności i świata przeżyć swoich, bohaterów. Ślizga się jakby - zresztą w sposób niejednokrotnie barwny i efektowny - po samej powierzchni świata i spraw, które przedstawia.

Ale może nie dostrzegają tego wszystkiego widzowie-krytycy zagraniczni, dla których Polska i polskie sprawy egzystują często bardziej, jako określony mit, a nie, jako otaczająca ich realność? A może... taka właśnie jest prawda o nas, taki nasz wizerunek, jaki przedstawia w swym filmie Radosław Piwowarski? Tylko, że my sami nie potrafimy go dostrzec lub nań się zgodzić? I dlatego wysoka ocena „Yesterday” wydają się nam tak zagadkowa?

Pierwodruk: „Kamena”, 1985, nr 22, s. 8.